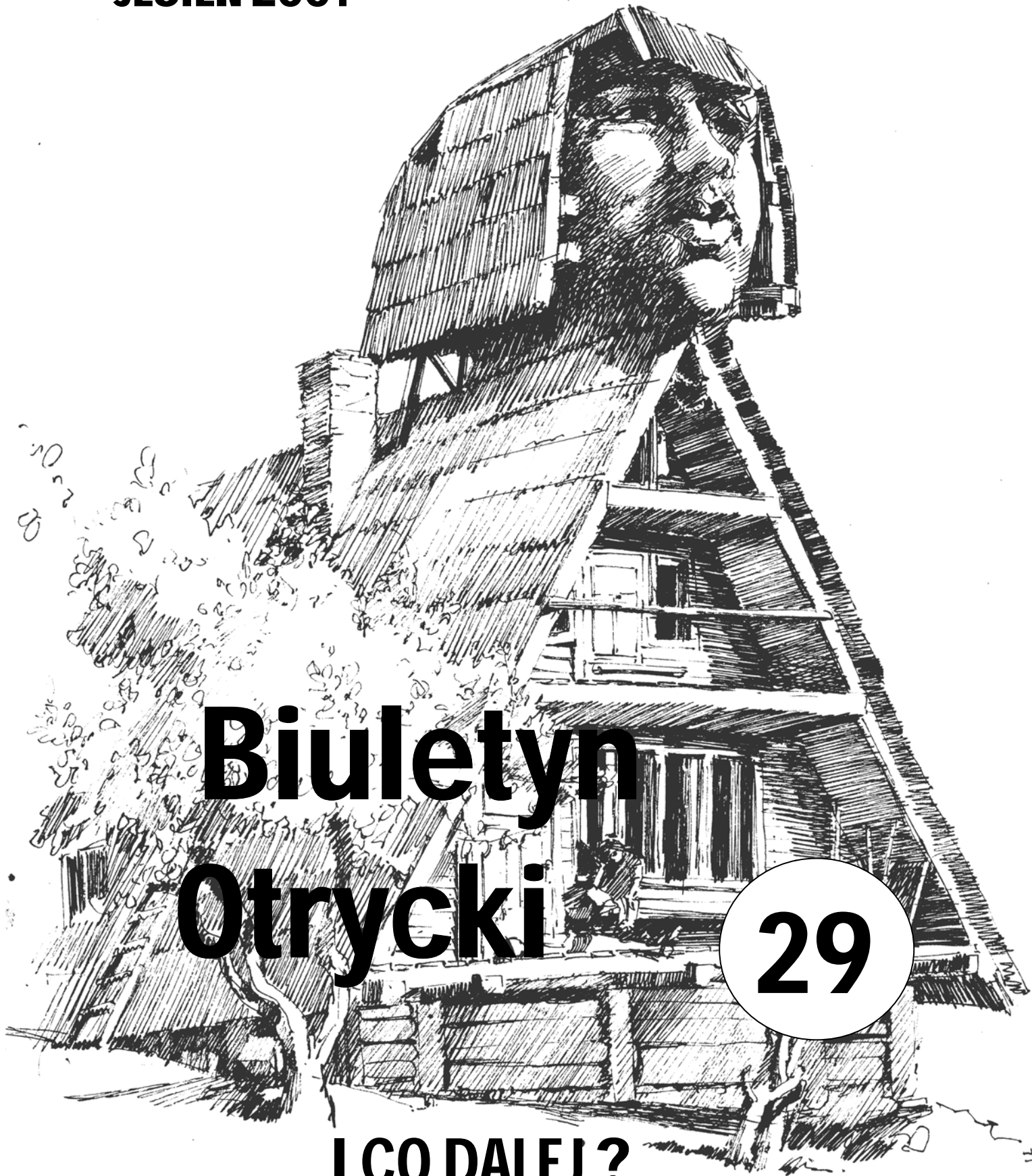


**JESIEŃ 2001**



**Biuletyn  
Otrycki**

**29**

**I CO DALEJ ?**

## Wstępniak

Zjazd Sentymentalny, który odbył się na początku października powoli, jak inne otryckie imprezy, przechodzi do historii. I co dalej? Czy wspomnienia i uczucia, które wzbudził w „starych” Otrytczykach, będą powoli blaknąć? A może coś się zmieni? Te pytania zadajemy sobie cały czas, i my „młodzi”, i ci, którzy powrócili po latach na Górę. Co wydarzyło na Otrycie przez ostatnie dziesięć lat? Kim są ludzie, którzy teraz opiekują się Chatą? Co robią, by przetrwała? Mam nadzieję, że „starsze” pokolenie znajdzie tu choć w części odpowiedzi na te pytania; dla nas zaś niechaj będzie ten numer BO pewnego rodzaju podsumowaniem naszej bytności na Górze.

Małgorzata Frankowska

PS. Ogromne podziękowania Kasi Kudłatej za pomoc i wsparcie. A może uda nam się tworzyć w przyszłości StaroMłodoOtryckie Biuletyny?

## Coś poszło

Jesteś pokoleniem co wędrowało po szosach  
miało to oznaczać lekceważenie rodzinnych obiadów  
mile obecnych na wyciągnięcie ręki.  
Siedzisz więc w rowie z przyzwyczajenia  
zapada letnia noc.  
Twoje gesty są już policzalne  
Oczywiście wgrzebiesz się w siano  
z rutyną codziennej drogi do pracy  
i poza smutnym spostrzeżeniem, że ktoś coraz rzadziej zauważany  
uzna cię mimochodem za degenerata  
jest tożsamość gwiazd nad tobą i zmęczonych twarzy w porannych tramwajach.  
Wiele kilometrów stąd  
Twoja dziewczyna codzienna jak odziedziczony kaktus  
ulega pokusie poznania nowego dotyku  
mającego świeżość wody z kranu.  
Wiesz pachnie, leżysz trochę niepewny straconych entuzjasmów  
i obojętnie stemplujący wyprany dzień.  
Gdzieś minięte pocałunki, książki i główne wygrane  
oddano do antykwariatu o nieznanym adresie.

Krzysztof Biernacki

### ... i po zjeździe.

Tym którzy nie dojechali na nasz Zjazd Sentymentalny wypada złożyć krótki raport.

1. OTRYT. Przepiękny - nie zawsze trafia się takie babie lato, czasem zimny deszcz i wiatr obdziera drzewa z liści jeszcze we wrześniu, zanim nabiorą tych pełnych kolorów. Tym razem - bajka, brak słów by to opisać.

2. OTRYT GÓRNY. Pierwsze zdziwienie - Chata otoczona już niemal ze wszystkich stron lasem - drzewa które sadziliśmy kilkanaście lat temu i modrzewie sadzone przez leśnych są teraz wyższe od Chaty. Między nimi kłębi się olcha i inny chwast. Na górnym Otrycie rządzi już nowe pokolenie - emeryci tacy jak buk spod drewni, rosochata jodła znad Arturówki czy jesion koło Lektorium to ostatki starodrzewu, mocno już sterane.

3. CHATA. W tym otoczeniu wydaje się jakaś mniejsza. W środku kilka zmian, modernizacji - mimo to widać że Chata się posunęła. To chyba jedyna przykreść związana z tym wyjazdem - przekonać się że Chata ma taką właściwość jak wszystko i wszyscy - starzeje się.

4. LUDZIE. W całym zamieszaniu zapomniałem policzyć - zebrała się nas chyba liczna gromada - czy nie ponad 20 osób? Okazuje się jednak, że zawsze kogoś brak - bo gdyby tak jeszcze Henio Banaszak, albo Gierbisz, albo Marucha, albo Wicia, albo Boguś, Belwit, Młody, Grądzki ... Ale wszyscy bardzo chcieli i ciągnęli na Otryt jak kto mógł. Oli i Przemka nie powstrzymał nawet wypadek i rozbitcie samochodu po drodze ... Nie wyliczając osób towarzyszących i dzieci mieliśmy więc: Elkę i Belkę, Maria, Kaśkę, Gwizdka, Waldka z Łodzi, Komisarza, Izę, Madzię, Agnieszkę Karpowicz, Kube Fotografa, Ariadnę, Filipa, Kubę Antoszewskiego, Olę, Przemka, Kostrzewskiego, oboje Pawlików, wpadł Waldek Witkowski, jeszcze Malina i ja - ekipa jakby z jakiegoś obozu sprzed kilkunastu lat.

5. DZIECI. To nowość dla mnie i niespodzianka. Jako ojciec 5,5 -latka przywiezionego tam pierwszy raz byłem pełen obaw. Okazało się, że dzieciaki - zwłaszcza w grupie - radzą sobie wyśmienicie. Wychodzą z kraks samochodowych, wąża dzielnie na Górę ciągnąc na plecach swoje skarby. Świetnie adaptują się w Chacie. Potem mówią do ciebie "wujku" i domagają się "Wypić wypijemy"...

6. NO I CO? No właśnie - i co z tego wszystkiego wynikło? Pomijając przygody związane z przyjazdem i wyjazdem - żadnych ekscesów. Ludzie postarzelisi, są dojrzałsi, spokojniejsi, jakoś spełnieni. Kiedy spotkali się na Górze, stworzyli znowu tę samą grupę harmonijnie współpracującą w oparciu o te same zasady.

Największym wydarzeniem zjazdu jest to, że nic się nie stało. Było fantastycznie normalnie i jak zwykle nadzwyczajnie.

7. CO DALEJ? Zjazd był towarzyskim sukcesem. Stąd różne propozycje by spotkać się znowu - w poniedziałek, na wiosnę, za rok, za 10 lat ... W tym wszystkim było też drugie dno - i pytanie czy ten sentymentalny zjazd spowoduje jakiś powrót naszej grupy do środowiska, którego zadaniem jest utrzymywanie Chaty i prowadzenie jakiejś społecznie użytecznej działalności?

To pytanie do każdego z nas z osobna - czy chce, czy potrafi pomóc.

Marek „Malutki” Parzydło

## OTRYT JAK STARE BUTY

Zjazd sentymentalny - tak nazwaliśmy - nasz wypad na Otryt. Dla niektórych był to powrót do Chaty po 10 latach. Chyba nie było ani jednej osoby, która nie obawiała się tego spotkania po latach. Wyposażeni w rodziny, dzieci, pracę, zmarszczki i nadwagę oraz codzienne problemy ludzi dorosłych zastanawialiśmy się czy to w ogóle ma sens. Czy nie okaże się, że do siebie zupełnie nie pasujemy i razem nie pasujemy już do Chaty. Okazało się, że można cofnąć czas...

### **MALINA:**

- Było NADZWYCZAJNIE!

Może dlatego, że chciałam, żeby było po prostu tak jak dawniej. I tak było. A nawet lepiej.

Dlaczego? Ponieważ pozbyliśmy się dawnych pretensji. Pretensji do bycia np. Najlepszym Śpiewakiem, Najlepszym Gawędziarzem, Największym Roztargnionym, Osobą Pozostającą w Najlepszych Kontaktach z Gospodarzem Chaty, Największym Pijakiem, Najlepszym Kucharzem, Największym Plotkarzem etc, etc... Zrealizowaliśmy już w życiu swoje ambicje i teraz to już była sielanka. Ot tak sobie i ze sobą - byliśmy sobą. Cichsi, łagodniejsi, ładniejsi, bogatsi o kupę wspomnień a czasem też ładnych małżonków, ładne dzieci, ładną pracę itd... Dziewczyny zgrabne, obowiązkowo bez cellulitu, zadbane, uśmiechnięte. Panowie przystojni, w pachnących czarnych bokserkach (Mario, nie ustaliliśmy, jakiego płynu do płukania używasz - od razu wyjaśniam, że Mario prezentował bokserki, po wyjęciu ich z plecaka, zanim trafiły na jego pupę). Troszkę delikatniejsi i bardziej eteryczni - Grześ Kostrzewski, nieboraczek, miał zadyszkę po wniesieniu dwóch kubeków z wodą. A ile musiałam się nagadać, żeby go do spacerku z kubkami namówić!

Kuba fotograf nam zmężniał, wydorósł; Komisarz i Waldek z Łodzi przyglądali się nam wzrokiem pełnym zadumy i wzruszenia. Tak szczęśliwi tatusiowie patrzą na swoje dziatki. Kuba Antoszewski wygrywał nastroje i podgrzewał atmosferę na wszelkich sprzętach i przedmiotach, które wpadły w jego jazzowe ręce. Mateczki. Iza i Agniecha dochowały się takich "warkoczyków", że aż zazdrość chwyta. Mówię to jako "posiadaczka" samych siusiaków. Mój Jasiek doszedł do tego samego wniosku, ponieważ dogadał się z cieniem Emilki, że zajmie jego miejsce na czas pobytu na Otrycie. Natomiast Mario Rzanny został jednogłośnie okrzyknięty najbardziej ukochanym wujkiem wszystkich małoletnich Otrytczyków i (jak to będzie?) Otrytek, Otrytinek, Otrytczanek?.

Kacha, taka sama Kacha, tyle że jakaś drobniejsza i Niekudłata. Przemek - jak dawniej baczny i cichy obserwator. Magda Majewska/Dobrowolska też nie sprawiła zawodu i mimo że na co dzień, po operacji strun głosowych, mówi normalnie, to była tak miła i na czas wyjazdu nieźle ochrypła. Nawet Waldek Witkowski wszedł do Chałupy pełen dawnego animuszu, z nieco wyższym czołem niż dawniej ale za to z dużo młodszą, niż wcześniej bywało, towarzyszką:)

Moja koleżanka z BR TVP SA, Bożenka, twierdziła zawsze: "Sam się nie pochwalisz, chodzisz jak opluty!". Nie licząc więc na pochwały pozwoliłam sobie wziąć sprawy w swoje ręce. Tym bardziej, że powyższe zawiera szczerą prawdę.

Pozdrawiam Was wszystkich - Wielkich Obecnych i Nieobecnych. Myślę, że pomysł ponawiania Zjazdu w tym właśnie gronie, raz do roku, w formie jakiegoś przedłużonego weekendu, jest znakomity. I już się zapisuję na kolejny wyjazd.

**MAGDA:**

Od rana zbieram się, żeby do Was napisać i trochę poprawić sobie samopoczucie. Bo jakie ono może być kiedy jeszcze wczoraj było taaaak PIĘKNIE. Trochę się bałam tego wyjazdu, ale nakręcona mailowymi "zachętami" pojechałam. I było tak, jak kiedyś. Pięknie, nastrojowo i odrobinę leniwie. I ludzie, jeżeli się zmienili, to tylko in plus. Niektórzy zmężnieli, inni dojrzali, a kibitki - jedna w drugą piękniejsza.

Było jakoś tak spokojniej niż kiedyś, ale nie w sensie braku czynów, ale wewnętrznego spokoju.

Szczególnie wzruszył mnie Komisarz. Już nie "MACZO" za wszelką cenę, ale zakochany Mariusz w niejkiej Hance i Maurycym!, Na Otrycie, jako ten "ojciec". Dzięki Ci Komisarz, za cudowny balsam na me sterane struny głosowe (śmietana+miód+cytryna=przepis już przeze mnie kupiony).

I Grześ, jakiś taki spokojniejszy i dobre wino popijający (czyżby "komisarzówka" kuła go już teraz w ząbki?). Co prawda sądząc po "przygodach" jakie spotkały go w drodze powrotnej do domu, nie pozbył się do końca "fantazji ułańskiej".

Cóż, było pięknie i te Bieszczady takie kolorowe.

**OLA:**

Bardzo było miło Was wszystkich zobaczyć. Dla mnie też Otryt okazał się jak stare buty (cytuje Izę), wygodny, domowy, a podejście jakby krótsze (?). Żeby się dołączyć do ogólnych wyrazów wdzięczności, wielkie podziękowania Markowi Malutkiemu, Kasi, Andrzejowi Gradzkiemu i Mariowi za chwalebny czyn mobilizacyjny. Osobne podziękowania dla Przemka, który wrócił ze mną do Warszawy lawetą i bez zbędnej przemocy skłonił do udania się na Otryt w tradycyjną, osiemnastogodzinną podróż. Podróż była to fantastycznie otrycka z trzema przesiadkami i poranną kiełbasą z grilla na dworcu w Przemyślu. Słowem, prawdziwe katharsis. Bardzo też dzięki Joannie i Andrzejowi i Markowi za powrót, bo uratowali dzień, który miał być nieskończenie smutny z powodu wyjazdu. I Gwizdkowi, który biedny pozmywał za nas wszystkich naczynia na niewdzięcznej, ostatniej wachcie.

**ARIADNA:**

Umiłowani Bracia i Siostry

Jeszcze dwa dni temu byliśmy razem, ale oto niezbadane wyroki Pańskie rozproszyły nasze stadko po różnych biurach i kantorkach, gdzie teraz gapimy się bezmyślnie w ekran komputera, by ukryć przed szefami swą niechęć do pracy.

Było uroczo, chociaż Mario uszczęśliwił mnie naprawdę bardzo lekką wachtą trwającą prawie całą sobotę i składającą się z kilku wyszukanych dań. Na szczęście nieoceniony Komisarz umiał usmażyć szpyrkę i zrobić pomidorową ze śmietany i musztardy. Kaśce Kudłatej i Malinie dziękuję za to że pożyczyły mi laczki, których zapomniałam zabrać. I chcę jeszcze raz kategorycznie zaprzeczyć plotkom, by Kudłata chrapała. To na pewno byli turyści. Mam nadzieję, że wszyscy zakopani zostali odkopani, a ich bardzo ładne samochody wciąż nadają się do użytku. Grzesiu, dojechałeś?

**GRZEŚ KOSTRZEWSKI:**

Jestem szczęśliwy! Spotkałem bandę inteligentnych i wesołych ludzi. Jak zawsze w Klubie Otryckim. A o to w świecie najtrudniej. Dookoła prawie same głąby i ponuraki. Choć już i łyzy były na Otrycie. Łzy po Wojtku. Ja zwyczajnie tęsknię za Nim.

Informuję, że fakty opisane przez Kubę są prawdziwe. Lecz pozwolę sobie przedstawić Wam swoją interpretację tego zdarzenia. Uczynię to po powrocie z Palermo, gdzie udaję się by odetchnąć atmosferą pełną zrozumienia dla mojego widzenia świata. Jadę tam gdzie nie zdewaluowały się pojęcia honoru i lojalności. I gdzie moi tamtejsi przyjaciele w pełni rozumieją i popierają moje sposoby prowadzenia interesów i rozstrzygania ewentualnych sporów. Obiecuję, że siedząc na plaży i popijając wino pomyślę o Was. Przez chwilę.

### WSPOMNIENIE KUBY

Trochę już ochłonałem i mogę coś napisać o przeżyciach ostatniego dnia pobytu w Bies z Czadach. Przede wszystkim chciałem mało oryginalnie podziękować Wszystkim za wszystko. Było bardzo fajnie. Czułem się jak w maszynie czasu, która przerzuciła mnie do 87 lub 88 roku. Przepraszam za chrapanie, ale też nie tylko ja chrapałem, poza tym jak sobie człowiek popije to lubi potem pochrapać, a chyba nie chcielibyście żebym sobie nie popił. Przepraszam też za kolokwialny język, który w pewnym momencie uraził uszy Maliny i Malutkiego, to też ma coś wspólnego w popiciem, a zatem również czuję się usprawiedliwiony.

Ale do rzeczy. Malutki chciał żebym opisał co działo się w Niedzielę wieczorem, a co spowodowało, że w poniedziałek nie pojawiłem się w pracy i dziś piszę do Was dzięki uprzejmości pani z pośredniaka ;-)

Zaczął się od niewinnej jazdy po wspaniałych serpentynach bieszczadzkich autem Grzesia Kostrzewskiego. Było fajnie i udało mi się nie rzucić pawia, mimo, że kierowca bardzo się starał. Nie tylko zresztą za pomocą częstego wduszania na przemian pedałów gazu i hamulca, ale i za sprawą niecodziennego repertuaru muzycznego płynącego z głośników sprzętu hifi będącego standardowym wyposażeniem tego samochodu. Czy ktoś z Was kiedykolwiek wysłuchiwał przez bitą godzinę marszów wojskowych i piosenek rodem z festiwalu w Kołobrzegu? Jak tylko zaczęli myślałem, że to radio samo się przestawiło i wykonałem jakiś gest w kierunku odpowiedniego przycisku, ale widok zachwyconego wzroku kierowcy i jakieś pomruki zadowolenia wydobywające się z jego ust w takt muzyki zmieniły mój zamiar. Głęboko oparłem się w fotelu i zacząłem liczyć piosenki mając nadzieję, że na normalnym CD nie będzie ich więcej jak 13, może 15. Tego dnia nie ostatni raz miałem się pomylić.

Później wjechaliśmy w głęboki las. Początkowo szło nieźle. Tzn. kilka razy wysiadaliśmy, żeby odciążać samochód i żeby ten łatwiej pokonał przeszkodę, ale większość czasu spędzaliśmy w samochodzie. Duży ubaw miały córki Agnieszki, zwłaszcza, kiedy Grzesiek udawał, że nam ucieka, jak chcieliśmy wsiadać. Śmiechom i zabawom nie było końca.

Sielankowa atmosfera nie trwała jednak długo. Po ok. 45 minutach jazdy zaczęły się wyjątkowe wertepy, między innym strumienie, którymi trzeba było się przeprawiać w bród. Co i raz jakiś kamulec tłukł w podwozie samochodu. Ale trzeba przyznać, że zaciętość Grzeska w pokonywaniu przeszkód uspokajała nas i kazała wierzyć, że dotrzemy na miejsce cali i zdrowi.

W końcu nastąpił moment, którego jako racjonalni i dorośli, a także myślący ludzie powinniśmy się byli spodziewać - samochód utknął w

bagnistej koleinie. Wbił się przednim zderzakiem w ziemię i nie było sposobu ruszyć go z miejsca. Próbowaliśmy go wypchnąć brodząc po kolana w błotnistej mazi przypominającej brązowy kisiel, a może faktycznie było to słynne błoto żurawinowe, w każdym bądź razie nie udało się.

Biorąc pod uwagę, że jechaliśmy przez las dość długo, sądziłem, że do Bartnego (w którym nigdy przedtem nie byłem) jest już niedaleko. Zdecydowałem założyć plecak i pojsć piechotą, na miejscu załatwić traktor i ściągnąć samochód Grzeska. Miałem jeszcze wątpliwą nadzieję, że Mario, z którym miałem się zabrać do Warszawy, będzie jeszcze w Bartnem i poczeka na mnie. Jeśli pamiętacie o pierwszej pomyłce (tych diabelskich piosenek było ze dwadzieścia) to wiedzcie, że teraz nadszedł czas na drugą. Po godzinie marszu pod górę i mijaniu różnych rozwidleń dróg, które wybierałem intuicyjnie, zacząłem się zastanawiać, co będzie jeśli będę tak szedł jeszcze dwie godziny, a potem zapadnie zmrok. A może pomyliłem drogę. Czytaliście "Pokochała Toma Gordona" Stephena Kinga. To powieść o małej dziewczynce, która zgubiła się w lesie i spędziła w nim miesiąc zdana tylko na siebie oraz łaskę i niełaskę tajemniczego leśnego monstrum. Raczej nie jestem małą dziewczynką, ale czułem się jak ona.

Koszmar na szczęście trwał krócej. Deux ex machina - spotkałem małżeństwo grzybiarzy, którzy pokazali mi właściwą drogę. Tak więc łącznie po dwóch godzinach błędzenia w lesie znalazłem się w chacie Lenina w Bartnem. Kiedy już wynegocjowałem z miejscowym ekspertem od pomocy drogowej warunki wyprawy ratowniczej jego wielkim radzieckim traktorem, zadzwonił Grzesiek, że on już zszedł do wsi na dole i ma zabezpieczony traktor. Przyznam, że teraz naprawdę się zmartwiłem. Leśna wyprawa traktorem byłaby dobrym zwieńczeniem tego dnia pełnego przygód. Późnym wieczorem dojechał Grzesiek, który powiedział, że poznał bardzo miłą rodzinę i fajnie spędził wieczór, bo oglądał w telewizji ciemno zielone plamy i jakies rozbłyki - reality show z Kabulu.

Mariusz Rzanny już pojechał do Warszawy i musiałem zostać do poniedziałku. Za to w poniedziałek byłem kierowcą Matiza Izy i jej córek i czułem się w tej roli całkiem dobrze, chociaż przy odpuszczaniu sprzęgła musiałem uważać, żeby nie wybić sobie zębów kolanem.

A jeszcze w poniedziałek wieczorem zaliczyłem super koncert Scofielda, pod koniec którego usnąłem.

Pozdrawiam wszystkich tych którzy dotarli do tego miejsca - szczęściarze, to już koniec.

Kuba Antoszewski

**10.09.99**

Ostatnie muchy śpiewają nieposkromioną pieśń istnienia  
niebo gwieździ zakochanych.

Ręce przypominają sobie o sile  
przenoszą jutowe worki pełne ziemniaków.  
nie ma zmęczonego zgarbienia.

Nad lesistymi włosami gór  
szybuje Bóg pozbawiony strachu.

Jedno jest w czasie i miejscu  
Ocean wskrzeszeń

Krzysztof Bierancki

## SŁOWNICZEK

### Obecny Klub

**Ariadna, Jarek Frąckowiak, Arkadiusz Jarecki, Krzysztof Kazmierczak, Komisarz, Jakub Krupa, Krzysztof Markuszewski, Andrzej i Joanna Pawlik, Ola Sztetyło, Jacek Żebrowski** - same wspaniałe ludziki, które mniej lub bardziej czynnie działają w Klubie, a którzy opisanie byli w Biuletynie StarOtryckim.

**Anna Domaradzka** - zwana też Kluską. To chodząca życzliwość w długim szaliku z wiecznie zakatarzonym nosem. Ten czerwony nosek na szczęście nie kłóci się w wypadku Ani z uśmiechem. Jest z nami krótko (listopad 1999), lecz przez ten czas dała się poznać od jak najlepszej strony. Jest zarówno troskliwa jak i surowa (bywa, że unosi się gniewem). Bez przesady można ją nazwać Dobrym Duszkiem.

**Baltazar** - obecny Prezes. Jego zasług dla Chaty nie można przecenić (reaktywował Klub, mobilizuje jak tylko potrafi wszystkich do remontów), choć wielu zrazić może jego cięty język, rubaszny sposób bycia i nieustępliwość. Coraz rzadziej jego donośny śmiech słychać na Górze...

**Grynio (Rafał Grynfelder)** - wiele może (przygotował np. wielkie i wspaniałe plakaty na 1-go Maja, zrobił broszurkę o Otrycie i kilkakrotnie przekroczył śmiertelną dawkę alkoholu we krwi), uwielbia kąpać się nago w Solinie

**Igor Czajka** - członek RO. Ktoś, kogo nie sposób nie lubić. Dobre serce, otwarty umysł, niski, schrypnięty głos i umiejętność wydobywania z harmonijek najróżniejszych dźwięków czynią z niego wspaniałego towarzysza pracy i zabawy. Główna zaleta: zawsze mu się chce ☺

**Jasiek (Rudy) Wasilewicz** - obecny członek RO. Niezwykły kolor włosów i baaaardzo cięty język, to cechy które znamienne go wyróżniają. Z biegiem lat zanikła u niego tak charakterystyczna dla Otrytu zdolność wchłaniania alkoholu - oficjalnie tłumaczona chorą wątrobą.

**Jimi (Paweł Kociszewski)** - niewielki ciałem, lecz wielki duchem i umysłem. Niegdyś organizator zerówek na Otrycie, dziś prawnicza podpora Klubu.

**Kasia Bator** - prawdziwa kobieta otrycka o wielkim sercu pełnym miłości i mocnym czystym głosem. Dobry duch Chaty - to ona sprząta i pomaga w kuchni gdy nikomu nie chce się palcem ruszyć.

**Kondor (Krzyś Tymicki)** - niegdyś członek Rady Otryckiej, najmłodszy doktorant w Klubie, zawsze skory do grania na gitarze. Ma bardzo mocny sen - zdaniem Komisarza nie zbudzą go ani szepty (i krzyki) miłosnych uniesień, ani nawet trzaski łamiącej się pod nimi pryczy.

**Meping (Krzyś Chajęcki)** - zapalony poszukiwacz skarbów, uwielbia chodzić po lesie i pisać, potem grzebie długo w ziemi by w końcu z okrzykiem triumfu i dumą w oczach pokazać innym kawałek zardzewiałego żelaza. Chodzi po górach jak nikt i nigdy się nie męczy. Zapalony żegalarz.

**Michał Kołodziejczyk** - zwany też Misiem. Osoba która widzi Go pierwszy raz, zawsze zastanawia się dlaczego Stwórca na tak wielkim korpusie umieścił tak małą głowę z mikroskopijnymi uszami. Świetny przyjaciel i kompan do intelektualnych libacji. Facet któremu można zaufać. Lubi jeść i spać. Nic w tym dziwnego, to w końcu Miś.

**Olek Marchlewski** - piękne nazwisko, niski, aksamitny głos i znajomość wielu mądrych i trudnych słów pretendują go automatycznie do



wszelkiego rodzaju wystąpień publicznych. Ma słabą głowę, nawet tak wątła dziewczynka jak ja była w stanie go upić (choć piliśmy łąb w łąb). Świetny kompan, można z nim konie kraść (lub widzieć je w środku nocy na Otrycie we wspólnej halucynacji postalkoholowej). Uwielbia zjadać karty telefoniczne - no cóż, o gustach się nie dyskutuje...

**Piotrek Kurowski** - człowiek-serce i żelazne ciało. Organizuje wyprawy w mniejsze i większe góry, im bardziej dziko, tym lepiej. Zawsze ma przy sobie jajka na jajecznicę i kuchenkę gazową. Wielbiciel kobiet (zwłaszcza młodych). Wiele zrobił, by poprawić stan fizyczny Chaty.

**Piotrek Talarek** - członek Komisji Rewizyjnej. Słynie z niebezpiecznego obchodzenia się z kierownicą oraz bezpardonowego rozprawiania się z każdą napotkaną butelką.

**Patryk Słowicki** - jeden z najmłodszych stażem klubowiczów.

Współorganizator i kierownik czerwcowych DKF-ów na Otrycie - w dużej mierze to właśnie dzięki niemu w gorące letnie wieczory do Chaty wkrada się magia, a ludzie przenoszą się w inny świat. Oprócz wyświetlania filmów uwielbia spać i robi to przy każdej nadarzającej się okazji. Przedstawiciel wymierającego gatunku rycerskich mężczyzn.

**Zombie (Marcin Ząbek)** - otrycki Don Juan, uwielbiany przez kobiety i - dziwnym trafem - niezbyt lubiany przez mężczyzn. Bardzo zaangażowany w remont Chaty, dysponuje nowoczesnym sprzętem wojskowym: sześćoosobową koparko-wnoszarko-sprzątaczką, dzięki której możliwe było m.in. wykopanie szamba i odpływów z Chaty.

### **„Młodzi” Sympatycy Chaty**

**Aśka Biernacka** - zwana też Kłapaką. Osoba niezwykle życzliwa i gadatliwa. Z powodzeniem zastępuje radioodbiornik. W odróżnieniu od radia nigdy nie udało się jej wyłączyć. Zawsze grzecznie prosiła o przyniesienie wody i wyniesienie pomyj. Wielka fanka dobrego filmu i literatury. Mam nadzieję, że mimo choroby wróci jeszcze kiedyś do nas na Otryt.

**BezRadny** - producent i - w dużej mierze - reżyser wspaniałego filmu nakręconego w maju 2001 na Otrycie. Charyzmą i szerokim repertuarem pięknie śpiewanych przedwojennych piosenek podbił niejedno niewieście serce. Nasz człowiek w strukturach władzy (warszawski radny).

**Gąbka** - nie wiem czemu został tak dziwnie nazwany, może to kwestia zdolności pochłaniania dużej ilości alkoholu, a może miękkość serca (obie cechy to święta prawda)? Wspaniały kompan do rozmów.

**Głowa (Marek Suliga)** - dlaczego Głowa? Ano w zeszłym roku przed Sylwestrem udowadniał nam, że lepiej jest ze schodów spaść niż zejść. On sam do tej formy schodzenia się nie przekonał. Głęboka rana na Jego Głowie na pewno Mu w tym nie pomogła. Razem z Benzyną tworzą świetny duet gitarowy. A jego wykonanie piosenki o weselu przeszło już do historii.

**Gosia Bensemman** - zwana też Gochą. Od września żona Benzyny. Też chemik. Na co dzień walczy o lepsze wykształcenie naszej dziatwy. Zawsze uśmiechnięta i kochana. Potrafi ugotować najlepszy sylwestrowy bigos. A i wypić lubi i może. Z Gochy jest po prostu fajny gość i tyle.

**Ewa Kazmierczak** - kobieta z charakterem, po prostu kobieta z charakterem

**Igor Bensemman** - zwany też Benzyną. Najlepszy tragarz wśród chemików i najlepszy chemik wśród tragarzy. Duża siła i upór powoduje, że miło jest z nim wyruszyć po zakupy. Choć czasami się ściga co mnie (Jasia) zawsze wykańcza. Oprócz tych niewątpliwych zalet do tego świetnie gra

na gitarze i śpiewa. Jak sam o sobie nieskromnie mówi: „jestem demonem piękności i intelektu”. I jak Mu się można oprzeć? Gocha nie umiała. **Jeż** - dzielna kobieta o cudownym głosie znająca jak nikt piosenki Renaty Przemyk. Wpadła niechcący w Otryt jak śliwka w kompot i przez to została wyrzucona ze swojej zerówki, która przypadkiem zawitała na Górę (włączenie się z Otrytczykiem sam na sam ciemną nocą w okolicach Arturówki ocenione zostało - zupełnie nie wiem czemu - przez jej ówczesnego opiekuna za zupełnie niemoralne)

**Sędzia (Rafał Kazmierczak)** - przyszłość i nadzieja polskiego sądownictwa. Niektórzy gdy to słyszą kupują bilet na Malediwy. Tam podobno sędziowie spokojniejsi i łagodniejsi. Jego poczucie humoru jest na pewno cięższe niż toga w której będzie występował. Sam uważa, że walec to za mało. On chciałby mieć walec z kolcami. Prywatnie interesuje się językami w szerokim tego słowa znaczeniu(hmmm). Potrafi długo wyklądać o gramatyce języków romańskich. I to bardzo zajmująco.

**Wisznios** - spontanicznie nazwany KaOwcem. Organizuje wspaniałe wycieczki w góry i miejsca mniej znane niedzielnym i otryckim turystom. Twardziel, który zatrzymuje się nad małą jaszczurką i przegania ją ze ścieżki, by nikt stworzenia nie zdeptał.

**Wołodia (Włodzimierz Olak)** - twórca (nieustający) wspaniałych nalewek na otryckich owocach. Problemy ze zdrowiem nie pozwoliły mu ostatnio tak często pojawiać się na Górze, a bardzo za nim tęsknimy.

**Vasco czyli Zielona Alternatywa** - trudno powiedzieć czy jest to zwarta grupa czy kilka spontanicznie (i na potrzeby chwili) łączących się osób, niewątpliwie jednak trzon jej stanowią Michał Tober i Marek Grabowski. Oryginalność i para-artystyczne, happeningowe działania (takie jak np. wmurowanie kamienia węgielnego pod ChIChPiSówkę) to ich specjalność. A oto jak sami się opisują: „Vasco, czyli „uduchowiona kupa”. Geneza terminu powstała w Portugalii podczas wyjazdu Marka Marsona z Everem, gdy po wypiciu na wspaniałym campingu w Porto wina Vasco da Gama, Evera dopadła „straszna kupa”, krzyżująca owym dwóm podróżnikom plany tripowe. Okazało się, że kupa też może „mieć osobowość”. Grupa obdarzona dystansem do otaczającej rzeczywistości, w tym także Otrytu. Idzie przez życie z hasłem Meee.. na ustach.”

Małgorzata Frankowska  
Jan Wasilewicz

a jeśli przyjdzie nie myśleć  
i być tylko ruchem  
szybkim jak świat  
to chcę wierzyć że potrafię  
łąka schodzi w dolinę  
tam czekają kamienie

Krzysztof Bierancki

pięćdziesiąt dziewięć gór  
przez czterdzieści cztery parowy  
gdziekolwiek będę zostawię swój ślad

Krzysztof Bierancki

## REMONTY

### **Jak zmieniał się fizyczny stan Chaty, czyli kalendarium remontów**

Rok 1999 zapoczątkował proces odnawiania tradycji obozów remontowych. Może słowo „obóz” jest tutaj troszeczkę wygórowane, jednak kilku osobom udało się zmobilizować, wygospodarować odrobinę czasu i pracowicie spędzić go na Otrycie.

W poniższym tekście opisane są przedsięwzięcia, które w widoczny sposób poprawiły stan Chaty lub też ułatwiły korzystanie z niej. W ich realizację zaangażowanych było wiele osób. Nie sposób jest tutaj wymienić wszystkich, zatem z góry przepraszam tych, którzy brali udział w remontach, a nie znaleźli się w kalendarium.

Początkiem wszystkich prac było zrobienie wielkich zakupów. Zgromadzone materiały miały być wykorzystane w czasie najbliższych miesięcy, między innymi do ocieplenia ścian i podłóg. Te, na pozór nieskomplikowane czynności, pochłonęły około tygodnia **w czerwcu 1999 roku**. Zadanie to wzięł na swoje barki Kuba Krupa.

Prace rozpoczęły się jeszcze **w tym samym miesiącu**. Zainauguował je Kuba wraz z Piotrem Kurowskim. Zdemontowali oni zewnętrzną część południowej ściany sali ogólnej, oczyścili przestrzeń między deskami, wypełnili ją gulfibrem oraz warstwami specjalnej folii, a następnie z powrotem ułożyli deski. Wszystko to zrobili w ciągu jednego tylko weekendu. Podobna metoda pracy, choć może nie koniecznie tak szybka, stosowana była w czasie kolejnych wyjazdów.

Następnie odnowiona została podłoga w korytarzu. Tym również zajął się Kuba, tym razem ze mną. Zerwaliśmy starą, zniszczoną już wykładzinę, aby powoli, gwóźdź po gwoździu wyjąć wszystkie deski. Stare ocieplenie, a właściwie to, co po nim pozostało, powędrowało wprost do worków na śmieci. Starannie oczyściliśmy dolną warstwę desek i pokryliśmy preparatem antygrzybicznym. Ponieważ ich stan wydawał się być zadowalający, położyliśmy folię paroprzepuszczalną, grubą warstwę gulfibra, folię izolacyjną i wszystko przykryliśmy starymi deskami, na które przykręciliśmy, polakierowaną sklejkę. Dopiero tak usztywnioną i gładką powierzchnię przykryliśmy wykładziną.

W czasie tych prac powiększona została też łazienka, a jej układ staraliśmy się dopasować do przyszłych zmian. Rozebrany został też schowek przy korytarzu. Jego miejsce zastąpić miały duże, drewniane, zamykane od góry skrzynie. **Czerwiec** był wyjątkowo pracowitym miesiącem.

**W przeciągu lipca i sierpnia** dokończona została łazienka, powstały, na razie w stanie półsurowym, skrzynie oraz na stałe umocowano schody. Na uwagę zasługuje fakt, że większość tych prac wykonał Kuba, przyjeżdżając z Warszawy tylko na weekendy.

Większą grupę ludzików udało się zmobilizować do wspólnej pracy dopiero **w drugiej połowie września**. Na tydzień przed Baranem rozebrałem południową ścianę, tym razem na wysokości kominkowej. Ocieplona została w podobny sposób, jak piętro wyżej z tym, że dołożyłem dodatkową, trzecią warstwę gulfibra. Pomimo, że starałem się przykręcić stare deski w dokładnie tych samych, oryginalnych miejscach, nie zawsze mi się to udawało. Próbowałem różnych sposobów, ale zawsze jedna mi zostawała...

Równoległe z pracami na parterze, kolejne ekipy zajmowały się wymianą desek podłogowych na tarasach przy ogólnej i jaskółce. W to zaangażowane były praktycznie wszystkie osoby, które na coroczną imprezę przyjechały kilka dni wcześniej.

Wrześniowy Baran nie oznaczał zakończenia otryckiego sezonu. Tuż po nim, **w październiku**, ruszyły prace nad odnowieniem podłogi w kuchni. Oprócz Kuby zajęli się tym Wojtek i Jaś. Zaczęli od usunięcia trzech warstw starych resztek wykładziny oddzielonych od siebie warstwą czegoś, co przypominało powierzchnię wody ze stojącego, zielonkawego bajora. W czasie zrywania desek wyszła na jaw dosyć poważna wada konstrukcyjna Chaty. Ku zaskoczeniu wszystkich okazało się, że ciężar podłogi wcale nie spoczywa na legarach, a jedynie na pojedynczej, stojącej pionowo pod podłogą desce. Ocieplenie zostało wykonane w doskonale już wszystkim znany sposób, a podłoga pokryta preparatem ochronno-konserwującym. Prace, a właściwie układanie wykładziny, bardzo utrudniała pogoda. W Chacie było wówczas około zera stopni, przez co tworzywo, z którego była wykonana, miało elastyczność porównywalną do grubej blachy. W tym celu cała kuchnia została od wewnątrz oklejona folią, która pełniła rolę ekranów termicznych i maksymalnie rozgrzana. Dzięki temu możliwe było rozprostowanie wykładziny i ułożenie jej na podłodze. Powstała też wstępna konstrukcja obecnych szafek.

**W czasie kolejnych dwóch tygodni** ocieplona została służbówka. Piec zastąpiono znacznie mniejszym i podobno bardziej wydajnym wynalazkiem, który podłączono do dziury w ścianie. Niestety, nie wystarczyło już czasu na zdjęcie podłogi. Została ona jednak pokryta warstwą folii piankowej, jako substytutu izolacji oraz dwunastomilimetrową sklejką.

**W grudniu 1999 roku** Piotr przywiózł do Dwernika szyby zespolone, które zostały później wstawione w miejsce starych okien w południowej ścianie. Dzięki ich specjalnej konstrukcji oraz wcześniejszemu, solidnemu ociepleniu ściany można już (w miarę) bezpiecznie zostawić na ławie w kominkowej wodę w kubku bez obawy, że rano zastaniemy w nim jedynie bryłkę lodu.

**W kwietniu 2000 roku** siedmioosobowa koparko-wnoszarka wykopała dół na ścieki oraz wykonała odpływ brudnej wody z kuchni i łazienki. Ponad sto metrów rur zostało ułożonych prawie metr pod powierzchnią ziemi. Przy okazji powstał dół pod służbowy kibelek. Koparką kierowałem osobiście, logistykę natomiast zabezpieczał Artuditu.

**Wiosną** tego samego roku wwieziona została na Górę kręgi do ujęcia. Po raz kolejny też przypomniał o sobie Artuditu, naprawiając zniszczony grzybek.

**W październiku** ciekawe wyzwanie podjął Leszek Siedelnik. Dzięki niemu bardziej wstydliwi turyści mogą spokojniej korzystać z prysznicza stojącego za ujęciem. Przede wszystkim zabudował trzy ścianki, znacznie ograniczając kontakty z otoczeniem.

**Jesienna** wizyta Mepinga zaowocowała podstemplowaniem Lektorium.

**W grudniu 2000 roku** Piotr Kurowski wraz z Magdą Linkiewicz przyjechał do Dwernika samochodem całkowicie wypełnionym kocami. Te stare, czasami wręcz rozpadające się, zostały zamienione nowymi, choć nieco bardziej monotonnymi kolorystycznie. Kilkadziesiąt sztuk udało mi się „odkupić” z zapasów wojskowych. W Chacie zrobiło się odrobinę czystiej. Czyżby zimowe transporty Piotra miały przejść już do tradycji?

**W tym samym miesiącu**, tuż przed Sylwestrem, Baltazar dokończył modernizację łazienki. Niewątpliwie największą zaletą tego przedsięwzięcia było zainstalowanie i uruchomienie prysznica. Ci, którzy Nowy Rok chcieli powitać bez dodatkowych zapachów, już docenili włożoną w remont pracę.

**Lato roku 2001** również należało do wyjątkowo pracowitych, w głównej mierze za sprawą duetu Wojtków. Usunęli oni zbutwiałe już drabiny z dachu Chaty zastępując je nowymi, jak również usprawnili jeden z odpływów z łazienki. Prace prowadzone były aż do jesieni.

**We wrześniu** ocieplili ostatni już fragment podłogi, czyli Kominkową. Pracę zakończono tuż przed Baranem. W okresie tym wyremontowany został też kominek. Następnie wymienili część gontów, które z coraz już mniejszą skutecznością chroniły kuchnię przed kroplami deszczu.

To, co udało się zrobić do tej pory, jest zaledwie częścią potrzeb remontowych Chaty. Niektóre z nich wymagają szybkiego zakończenia, żeby nie zaprzepaścić włożonej już pracy. Inne należy rozpocząć od podstaw. Jaki jest stan miejsca, w którym wszyscy spędzamy przemile chwile i do którego z olbrzymią radością powracamy przy każdej nadarzającej się okazji, sami wiemy najlepiej.

Marcin Ząbek

### **O tym, jak koparka na Otrycie pracowała**

Ręce urywają się pod ciężarem wiader z pomyjami... Któż z nas nie zna tego uczucia? Ci, którzy w łazience spędzili „oczyszczające” chwile i chcieli to miejsce pozostawić w należyтым mu stanie, doskonale pamiętają „wycieczki” w stronę Polany. Jeszcze częściej ścieżkę udeptywali Ci, do których należała wachta. Każdego dnia dziesiątki litrów wody trzeba było wynieść do miejsca, które wszyscy dobrze znamy. Jedni czynili to bez większych objawów niezadowolenia, natomiast dla niektórych stanowiło to problem na miarę poważnej wyprawy. Jednak większego wyboru nie było – wiadro do ręki, uśmiech na drogę i dzielne kopytkowanie w stronę sławojki.

Sam już nie pamiętam, kiedy przyszedł nam do głowy pomysł zmiany tego stanu rzeczy. Zapewne miało to miejsce w czasie długiego, otryckiego wieczoru obfitującego w produkty, na które monopol wciąż posiada państwo. To by też w znacznej części tłumaczyło fakt podjęcia tej, dla niektórych dziwnej, decyzji.

Kanalizacja – to z pewnością zbyt duże słowo i nie bardzo pasujące do tego miejsca, odpływ – zbyt banalne. Cóż więc chcieliśmy zrobić? Odpowiedź nasunęła się sama: wykopać wielki dół na pomyje i położyć troszeczkę ponad sto metrów rur. Może jeszcze jakiś mały filtrerek, albo chociaż kratka zatrzymująca większe zanieczyszczenia i problem wynoszenia wiader zostanie załatwiony raz na dłuższy czas. Pomysł wydał się o tyle ciekawy, że był straszliwie prosty. Jednak to brakujące pytanie musiało w końcu paść. Kto wykopie stumetrowy rów, głęboki na prawie metr i zakończony dużym zbiornikiem, gdy nawet nie wiadomo, czy pod cienką warstwą ziemi nie ukrywa się twarde, skaliste podłoże? Kolejne porcje eliksiru dobowane z wnętrza Mamuśki skierowały dyskusję na jeden tor. Potrzebna jest koparka...

Szybko okazało się, że w tym szaleństwie jest metoda. Tylko gdzie znaleźć sprzęt, który wjedzie pod samą Chatę? Może wykorzystac coś na bazie DT-75, potocznie zwanego detem? Może..? Tak! To jest myśl!

Przecież ja mam w pracy wprost idealną do tego celu koparkę. Jest przy tym wielofunkcyjna, sterowana głosem i potrafi pracować w dowolnej czasoprzestrzeni. Dodatkową zaletą jest fakt, że z pewnością dotrze w każdy zakątek Otrytu. Pracuje stosunkowo wydajnie, nie jest kosztowna w eksploatacji, a wielomodułowa konstrukcja z aktywną redundancją znacznie podnosi wskaźniki niezawodności. Duża odporność na warunki otoczenia, elastyczne warunki klimatyczne oraz możliwość pracy z praktycznie dowolnego źródła zasilania zadecydowały, że tuż po powrocie do Krakowa zacząłem przygotowywać się do kolejnego wyjazdu, tym razem w celach remontowych.

Najtrudniejszy okazał się wybór właściwych modułów. Po kilku dniach starannego ich dopasowywania udało mi się stworzyć siedmioelementowy, dobrze współpracujący ze sobą mechanizm. Oczywiście w wersji podróźnej oraz pracującej w terenie, musiała zostać dodatkowo zaimplementowana jednostka kontrolno-sterująca. Kolejnym etapem było dokładne zaprogramowanie elementów czynnych tak, aby z możliwie największym prawdopodobieństwem wyeliminować ewentualne niespodzianki, które mogłyby przydarzyć się w czasie transportu lub pracy koparki w obszarach oddalonych od większych ośrodków cywilizacji. Teraz pozostało już tylko wygospodarować wolny tydzień i w drogę...

Podróż minęła bez specjalnych problemów i w kwietniowy poniedziałek roku dwutysięcznego, w okolicach południa znaleźliśmy się w Zagórzcu. Dalsza droga też nie sprawiała większych trudności, gdyż koparka jest konstrukcją bardzo mobilną i elastyczną. Niezwykle szybko potrafi zaadaptować się do panujących warunków, a tym samym również do bieszczadzkiej komunikacji. Tym sposobem po kilku minutach załadowany bus mknął w stronę Dwernika. Gdy tylko dotarł do celu, w koparce zaindukowały się dodatkowe zapasy energii, wszystkie jej moduły automatycznie przełączyły się w znacznie wydajniejszy tryb pracy, a synchronizacja pomiędzy nimi i jednostką kontrolno-sterującą osiągnęła zadziwiający poziom. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek widziałem ją w tak dobrym stanie. Niewątpliwie zaczęła oddziaływać magia Bieszczadów.

Pora na pierwszy test. Trzeba dotrzeć do Chaty. Krótka reorganizacja układu i od tej pory koparka sama podąża wzdłuż ścieżki, jedynie od czasu do czasu korygowana przez ciągle czuwający element sterujący. Prędkość, z jaką pokonywała kolejne metry przewyższenia, była nawet dla mnie sporym zaskoczeniem. Korzystałem już wcześniej z poszczególnych jej elementów, ale nigdy przedtem współpraca z nią nie była tak łatwa i bezproblemowa. Teraz jest wręcz przyjemna. Do Chaty dotarliśmy w czasie dużo krótszym, niż godzina. Na górze czekała na mnie kolejna niespodzianka. Atmosfera tego miejsca znacznie wzmocniła zjawiska, które miały miejsce tuż po opuszczeniu busa. Koparka była gotowa do pracy. Zostały jeszcze szybko wymienione warstwy zewnętrzne, zwłaszcza te, które najbardziej narażone są na zabrudzenia. Jej moduły inteligentne szybko oceniły twardość gruntu, grubość korzeni, temperaturę otoczenia, bliskość źródeł zasilania (sklep u Doroty), możliwości regeneracji obwodów i zgłosiły gotowość do działania. Dalej wszystko było już bardzo proste. Musiała jeszcze tylko zostać określona niezbędna do prawidłowego funkcjonowania koparki czasoprzestrzeń. Po konsultacjach ustalone zostało: kopać spod Chaty, w stronę Chmiela, aż do wieczora. O resztę szczegółów dbała już wewnętrzna logika.

Z dnia na dzień powiększała się długość rowu, jak również ilość doskonale nam znanych, półlitrowych, aluminiowych pojemników po niezbędnym do funkcjonowania koparki płynie. Każdego wieczoru

olbrzymie jego ilości były dostarczane przez jednostki wielofunkcyjne wprost od Doroty. W okolicach czwartku kopanie było już prawie ukończone i można było położyć rury. Analizując swoją własną wydajność i estymując czas konieczny do zakończenia pracy, koparka podjęła decyzję o przełączeniu się w tryb oszczędny. Nie chodziło tu bynajmniej o oszczędności środków materialnych, lecz własnej, fizycznej pracy. Tym sposobem więcej czasu można było przeznaczyć na pochłanianie substancji dostarczanych przez sprawnie działające moduły logistyczne. Przy tej okazji ujawniła się kolejna zaleta koparko-wnoszarki. Jedna z jednostek aktywnie udzielała się w góralskiej orkiestrze dętej, co w oryginalny sposób uprzyjemniało długie, otryckie wieczory. Niestety, Chata w tamtym okresie świeciła pustkami. Pobyt i sprawne funkcjonowanie koparki znacznie ułatwił Artuditu, dbając pieczołowicie o strawę. W sobotę przed południem prawie wszystko zostało już zakończone. Rury zostały zasypane ziemią, większe kamienie pozbierane i wygląd południowego stoku zaczął powoli powracać do stanu sprzed tygodnia. Dużym urozmaiceniem, oprócz upieczonego w czasie któregoś wieczoru barana, była wizyta pseudosurwiwalowej grupy z jednej z warszawskich firm. Współpraca z nimi, a właściwie pomoc przy przenoszeniu plecaków, zaowocowała obficie w czynniki, dzięki którym niezwykle miło zakończył się pracowity, jednak dla wszystkich bardzo miły i udany tydzień. Kolejny, upieczony w sobotę wieczorem baran uwieńczył ciężką pracę koparko-wnoszarki. W ferworze pracy powstał też dół pod służbowy kibelek.

Niestety, tydzień dobiegł końca i trzeba było opuścić to przemilę miejsce. Ślad po ciężkiej pracy dzielnych żołnierzy z krakowskiego batalionu widoczny był jeszcze przez ponad rok, a z efektów realizacji tego niecodziennego pomysłu od kilku już miesięcy wszyscy możemy korzystać.

Marcin Ząbek

walcz ze snem otulającym dni, starcy otwórzcie oczy i spójrzcie  
walcz z pustymi placami kuszącymi wiatrem, one mieszkają tylko na dachach  
walcz ze zboczami i trawersami, zamknij patrzenie  
słysząc konanie powietrza, włosy siarczeją

walcz z ulicami urodzonymi przez katar  
walcz z opakowanymi, spokojnymi zwierzętami  
dzieci zakwitają i odchodzą, diabły pracują  
czerwona przyszła, zielona ciemność

walcz z nowymi inwestycjami na prowincji  
z dozorcami składów złomu, pojemnikami czynów  
spernę kroisz nożem na talerzu, cukier w kostkach wykrajasz ze świni  
wyrzucony ze zgiełku i ludzi, od bezgrzesznych pałaców

walcz z mieszkaniem, sztucznymi gałazkami pokoju  
walcz z rzeczywistością, zażebrany  
odnóża sytych ludzi, szept twoich planów  
po dniu spi bies pomocny

Krzysztof Bierancki

## MOJA HISTORIA OTRYTU

### LATA 90-TE

No i co ja mam zrobić??? Kalendarium lat 90-tych? Czuję, że Gośka mnie zabije, ale ja tego nie potrafię napisać. Zacząłem przeglądać fotografie – jeszcze gorzej. Jak ustalić, kto przybył do naszego grona otryckiego, a kto odpadł...

Co do niektórych osób to byłem pewien, że znam je dłużej, ale od dawna twierdzą, że to dopiero 10 lat minęło. Ja chyba nie potrafię postrzegać upływu czasu, zgodnie z kalendarzem. Ludzi przesuwają się obok mnie, trwają dłuższe lub krótsze okresy, niektóre znajomości przekształcają się w przyjaźń, niekiedy ktoś ginie w przeszłości. Pozostają dziesiątki wspomnień, pamięć twarzy, anegdoty związane ze zdarzeniami na Otrycie czy w Warszawie (dotyczące środowiska otryckiego).

Nie przyjmuję do wiadomości, jak niektórzy z nas, że początek Otrytu to już lata świetlne, a lata 90-te to przecież zaledwie jeden krok do tyłu.

Ostatni okres mógłbym analizować w kontekście: Otryt i moje knajpy. Fala ludzi przepłynęła przez te dwa środowiska.

Zdjęcia potwierdzają, że wyjazdowe spotkania na Otrycie kończyły się dopiero w pubie przy Puławskiej. Tam Otrytscy bawili się wraz z ludźmi z innych środowisk, a to zaowocowało zawitaniem niektórych do naszej Chaty. Część z nich pozostała w naszym gronie do dziś.

Lata 90-te to okres dorastania młodej fali Otrytczyków i związane z tym wydarzenia: śluby, rozwody, sukcesy zawodowe. Nasze dorosłe życie (często obowiązki rodzinne) musieliśmy pogodzić z pasją, jaką były spotkania w Bieszczadach. Nie wszystkim nam się to udawało, wiele osób z czasem „wyrosło” z Otrytu – ale na szczęście ostatnio zaczęli powracać do naszego grona.

Dwie rzeczy składają się na problemy Klubu w latach 90-tych. Zmiany polityczne w Polsce spowodowały „kryzys turystyki”. Możliwości robienia kasy przez rzutkich ludzi odciągnęły wielu od starych form turystycznych. Do tego dołączyła niepewność losu Chaty ze względu na zabałaganione sprawy formalno-administracyjne. Myślę, że właśnie wtedy moje puby przyhamowały i nie pozwoliły na rozsypanie się środowiska Otrytczyków. Kilka lat wspólnych spotkań, razem celebrowanych imienin, urodzin, rocznic, często wieńczonych pieczeniem baranów. I to w Warszawie! Bardzo pomógł mi w utrzymywaniu takich klimatów spotkań mój były współnik Andrzej Kłós.

Mogę stwierdzić, że dzięki tym spotkaniom poznałem wielu z Otrytczyków, a zadzierzgnięte znajomości trwają do dzisiaj. Ukoronowaniem tych zabawowych lat było 5-lecie pierwszego „Heinekera” oraz impreza po zakończeniu pracy w drugim lokalu przy Królikarni. Niezapomniane imprezy! A następne lata to standardowe spotkania w pubie na Koszykowej.

Być może pamięć tych faktów spowodowała, że odpowiedziałem pozytywnie na propozycję Baltazara zorganizowania 25-lecia Otrytu. Wydarzenie to na pewno było najważniejszym spotkaniem, jakie pamiętam od pierwszego mojego pobytu w Chacie.



Dzięki Grześkowi Kostrzewskiemu udało się stworzyć „sztab” wykorzystując firmę Hator. Mieliśmy możliwość korzystania z telefonu (wielomiesięczne poszukiwania starych Otrytczyków, ustalanie adresów). Baltazarowi, Kubie i mnie udało się doprowadzić do zaczarowanej imprezy 25-lecia w zaplanowanym terminie. Podczas tego spotkania połączyły się i poznały różne „epokowo” środowiska otryckie. Nie można zapomnieć o wspaniałej atmosferze, która panowała pomiędzy uczestnikami, niezależnie od różnic wieku (byli nawet starsi ode mnie!!!).

Jest szansa, że nasze dzieci postawią nowoczesną, przezroczystą kopułę kryjącą Chatę przed zniszczeniem, że pojawią się znaczki z wizerunkiem Chaty i twarzy niektórych Otrytczyków. Może i zrealizujemy projekt lądowiska dla helikopterów dla tych, którym niewygodnie byłoby wjeżdżać na wózkach. A tak w ogóle to nie wiem czy Baltazar i Wojtek Ciombor sprawdzili, czy prycze i kuchnia mieszczą się w standardach europejskich? Przed nami jeszcze na pewno nowe wyzwania.

Komisarz

## 1989 - 2001

Po raz pierwszy przyjechałem na Otryt do Chaty Socjologa w 1989 roku. Miałem przerwę pomiędzy maturą pisemną i ustną, a że mieszkałem w niedalekim Przemyślu wyjazd nie sprawiał mi żadnego problemu. Wsiadłem do autobusu PKS i za 2 godziny byłem już w Ustrzykach Dolnych. Stamtąd ruszyłem jak prawie każdy świeży bieszczadnik do Ustrzyk Górnych. Poznałem tam gościa, który zaprowadził mnie do magicznego - jak to określił - miejsca. A była to oczywiście Chata Socjologa - nasza Chata. Leźliśmy z Połoniny Wetlińskiej przez Dwernik Kamień na Otryt. Na Dwernik Kamieniu spotkaliśmy ówczesnego gospodarza - Maruchę. Złapała nas totalna ulewa, a że mieliśmy na sobie wielkie i ciężkie plecaki szliśmy bardzo wolno. Do Chatki dotarliśmy późnym wieczorem. Weszliśmy do środka całkowicie mokrzy. Nie mieliśmy na sobie ani jednego suchego ciucha. W środku było masę ludzi, trafiliśmy na obóz filozoficzny z filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. Przysiadłem przed wielkim rozpalonym kominkiem, a z kuchni otrzymaliśmy wielki kubek gorącej herbaty. Przy kominku siedziało sympatyczne dziewczę, z którym, a jakże, zaraz nawiązałem znajomość. Ja wówczas jeszcze maturzysta, a ona już studentka chyba 2 roku filozofii. Tak mi się tam spodobało, że zostałem przez kilka dni. Nie musiałem się martwić ani o jedzenie, ani o zapłatę za nocleg. Przyłączyłem się po prostu do obozu. Za spanie płaciłem symboliczną złotówkę, za to musiałem popracować na rzecz Chaty, czyli rąbać drewno, nosić wodę etc... Tak się wkomponowałem, że ani ówczesny gospodarz, ani szefowa obozu, nie wiedzieli kim jestem. Jak się później dowiedziałem myśleli, że jestem facetem jednej z uczestniczek obozu. A czy tak było czy nie zostanie to moją tajemnicą.

Od tego czasu przyjeżdżałem na Otryt kilka razy w roku. Po maturze dostałem się na studia w Krakowie, studia, które nie miały nic wspólnego z socjologią, psychologią czy temu podobnymi naukami. Ale przez to nie czułem się bynajmniej w jakikolwiek sposób ignorowany. Wręcz przeciwnie. Pomyślałem, iż sylwester 90-91 należy przeżyć właśnie tam - w Chacie Socjologa. Tak też zrobiłem.

Przez następne 2 lata niestety przyjeżdżałem troszeczkę rzadziej, co bynajmniej nie oznaczało niechęci z mojej strony do Otrytu. Bodajże od roku 1993 byłem już praktycznie stałym gościem Chatki. Zostałem wtajemniczany w wiele spraw klubowych i „chacianych”. Poznałem w tych latach ludzi, którzy pomogli mi się później zaaklimatyzować w nielubianej przeze mnie Warszawie. Przyjeżdżałem na każdego Barana i Sylwestra. Nie opuszczałem żadnej okazji odwiedzenia Otrytu. Zauważyłem jednak z niepokojem, że Chata, a raczej jej stan się pogarszał. Zab czasu nadwerężył drewnianą konstrukcję Chaty, a z remontami było coraz gorzej. Prezesem Klubu Otryckiego był wtedy Mariusz Rz., gospodarzem Andrzej zwany także, a może przede wszystkim, Leninem. Ja nazywałem go Gruby (bynajmniej nie z powodu tuszy). Bodajże w roku 93 lub 94 odbył się Sylwester, podczas którego o mały włos nie spłonęła Chata. Prawdopodobnie było to podpalenie, ale tego do końca nie wie nikt. Wtedy brałem czynny udział w gaszeniu palącego się kawałka dachu koło komina. Wdrapałem się na drabinę z gaśnicą, a gaśnica, jak się okazało była delikatnie mówiąc zepsuta. Na szczęście ogień nie był duży i to co wypłynęło z gaśnicy starczyło, by ugasić pożar. Później były rozprawy ówczesnych władz Klubu, czy aby gospodarz nadaje się dalej na gospodarza, czy należy go zmienić. Ale tak było ponoć zawsze, o czym przekonałem się osobiście kilka lat później.

Po tym sławetnym Sylwestrze sprawa troszeczkę przycichła. Nie wiem dokładnie co się działo, ponieważ miałam rzadki kontakt z Klubowiczami - studiowałem w Krakowie, a do Warszawy jakoś mi spieszo nie było. Gruby dalej gospodarzył na Otrycie, a Klub chyba zapomniał o tym co się stało (jeżeli się mylę proszę o sprostowanie).

Po roku 94 bywałem bardzo często na Otrycie. W zasadzie średnia roczna wychodziła w okolicach 10-12 razy. Poznałem kolejnych gospodarzy, a jak się później okazało zastępców gospodarza, ponieważ Gruby nie za bardzo „kochał” Otryt zimą (co jestem w stanie zrozumieć, bez urazy oczywiście), więc wynajdował chętnych do pilnowania Chaty w okresie „bezludzkim”. Poznałem wtedy hrabiego, Bińka, Piotrka. Znajomość z hrabią jakoś nie układała się zbyt dobrze. Później słyszałem, że wielokrotnie zastawiał Chatę bez opieki, a czasami popełniał podstawowe błędy. Potrafił napalić w kominku prawie tak, że żar się z niego wysypywał, sam natomiast napajał się horyłką i kładł się obok pieca. To chyba czyjś duch czuwa nad tym miejscem, że nie stała się jakaś tragedia. Z Bińkiem nasza znajomość układała się w miarę poprawnie. Był jeszcze Piotrek, ale nie wysiedział w Chacie dłużej niż 2 miesiące. Miał widocznie dość samotności i uciekł jak tylko nadarzyła się okazja. W pamięć wbił się tym, że chciał oddawać plastikowe opakowania w zamian, jak to określił, za tkaninę polarową. Nie wiem skąd miał takie pomysły. Ale z drugiej strony Otryt zawsze miał dziwnych rezydentów. Po jakimś czasie dowiedziałem się, iż ów Piotruś miał wy badać sprawę zrobienia bazy narkotykowej w Chacie. Uff!

W tym czasie niestety Klub jakby przestał interesować się tym, co dzieje się w Chacie, co robi gospodarz. Przestał jakby istnieć. Nie wiem dlaczego tak się stało, ale... Popełnionych masę błędów i wiele spraw zostało zawalonych. Wspomnieć należy choćby umowę o dzierżawę terenu i chaty.

W końcu nadszedł rok w którym Chata obchodziła 25 - te urodziny. Ja byłem już tak zaangażowany emocjonalnie w Chatę, a jednocześnie posiadałem pewne umiejętności organizacyjne, że zostało postanowione, iż wspólnie z Leninem zrobimy imprezę 25-lecia Chaty. Myślę, że impreza nam się udała, przy współpracy innych stałych bywalców i ludzi

kochających to miejsce. Nie czas teraz aby wymieniać z nazwiska, myślę, że wiecie czyja to zasługa.

Impreza ta, miała jakby bezpośredni wpływ na to, że zacząłem się baczniej przyglądać i interesować tym, co dzieje się w Chacie. Coraz bardziej widziałem, że z ideą Otrytu jest coraz gorzej, że Chata się prawie wali, że... Ponieważ musiałem opuścić Kraków w poszukiwaniu "chleba", wylądowałem w Warszawie, gdzie miałem bezpośredni kontakt z Otrytczykami.

W końcu dojrzała w mojej głowie myśl uporządkowania spraw Klubu, Chaty. Niejako sam się wybrałem prezesem Klubu (skromny jestem, nie?). Pomocników także miałem zacnych: Kubę Krupę, Kazimierę, czy Joannę i Andrzejka Pawlików, i kilka jeszcze innych osób. Lenin w tym czasie zaczął przebąkiwać, że nie ma już ochoty następny, ósmy rok gospodarzyć na Otrycie. Nie wdawałem się w domysły dlaczego, ale z drugiej strony jestem w stanie go zrozumieć. Po kilkunastu latach bywania na Górze a chyba przez siedem gospodarowania, też miałbym dość. Umówiliśmy się, że od wiosny 98 roku musimy znaleźć nowego gospodarza. Tak więc od wiosny 98 roku na Górze zainstalował się nowy gospodarz - Wojtek Ciombor.

A w Warszawie trzeba było uporządkować sprawy formalne. Czyli urząd miasta, skarbówka, statut, praktycznie reaktywować Stowarzyszenie i wiele innych. Trzeba było także pomyśleć o pieniądzach na remont Chaty. Ale jakoś się udało. Sprawy formalne zostały wyprostowane, nie było to łatwe, ale udało się, pieniądze na najpilniejszy remont także się znalazły. Dzięki Kubie, który pożyczył ze swojej kieszeni. On także jeździł co 2 tygodnie i remontował wspólnie z Wojtkiem Chatę. Do dnia dzisiejszego udało się załatwić wiele spraw. Remontu wymaga jeszcze: natychmiast dach i ujęcie. A to niestety przekracza nasze możliwości.

I tym optymistycznym akcentem kończę opowieść o mojej przygodzie z Otrytem. Chyba faktycznie jest to magiczne miejsce. Niektórzy twierdzą, że jest tam schowany pod ziemią Czakram i chyba coś w tym jest.

Grzegorz Baltazar Kajdrowicz

Cisza zamyśla się na wzgórzach,  
liście rdzewieją, jabłka spadają z drzew i tupią,  
gęsi skubią znudzoną trawę.  
Na podwórzu rąbią drzewo  
odgłos uderzeń wzywa do kolejnego życia, jak gdyby rozkaz  
zmieniał się w prośbę i czułość. Słońce odchodzi  
i obiecuje jasność już jutro.  
Staruszka gotuje zupę w wielkim garze,  
ponad drogą siedzi białobury kot i zastanawia się  
nad samobójstwem.

Coś zostało otwarte i oddzielone od  
poprzedniego życia. Niebo rozplywa się w czasie  
obojętne, w niewidzeniu rozumiane.  
Przechodzą ludzie  
także oczy otwierają się szeroko.

Krzysztof Bierancki